

586. 656

# Jaś i Małgosia

i inne bajki

Print 1935. s. w. 8



A 3



WYDZIAŁ JAY READU  
WARSZAWY  
4500  
16 X 35

Biblioteka Narodowa  
Warszawa  
  
30001017760865





## CZARODZIEJSKI RUMAK

Pewien człowiek miał kilku synów, z nich najmłodszy, zwany Jan-kiem, otrzymawszy od ojca wspaniałego rumaka udał się na dwór kró-lewski na służbę. Smutek tam wielki panował gdyż okrutny olbrzym por-wał ukochaną córkę króla i nikt dotrzeć do skały na której była kró-lewna nie mógł.

Król lubił Janka i podziwiał piękno i wielkość jego rumaka, co nie podobało się dworzanom, którzy, chcąc się go pozbyć, naopowiadali, królowi iż miał się on chwalić, że jeśliby zechciał, mógłby olbrzymowi odebrać królewne. Wtedy król kazał mu jechać, obiecując połowę kró-lewstwa i córkę, jeśli się udała wyprawa.

Poszedł Janek do stajni i zmartwiony wołą króla nie wiedział co począć.





— Nie smuć się Janku, — odezwał się nagle rumak, podkuj mnie tylko dobrze a wyruszymy po królową. Gdy go podkuto, usiadł młodzian na konia i wyjechali. Góra była skalista i stroma i trudno się było na nią dostać, ale olbrzymi rumak galopem dopadł do uwięzionej królowy, Janek zeskoczył i zanim dostrzegł olbrzym, wsadził ją na konia i przywiódł przed króla,

Król, podmówiony przez dworzan, nie chciał mu dać córki za żonę dopóki nie odwali skały, zasłaniającej zamek królewski.

Rumak kazał się podkuć nanowo i kilku uderzeniami kopyt rozwalił skałę.

I tym razem jednak król nie dotrzymał słowa, obiecując dać mu córkę za żonę, jeśli zdobędzie dla niej takiego samego, jak posiada, rumaka.

Z wielkim trudem, z przeszkodami, dosięgli otoczonej górami doliny i po ciężkiej walce uśmierzyli dzikiego rumaka i przywieśli przed zdumionego króla. Ale i teraz nie otrzymał Janek tego, co mu obiecywano. Postawiono jeden jeszcze warunek.

— Córka moja, — rzekł król — ukryje się przed tobą dwa razy, a ty znaleźć ją musisz. Potem ty się ukryjesz, a jeśli ciebie nie znajdziesz, wesele wam wnet wyprawię.

Janek poszedł do stajni i zwierzył się swemu rumakowi.

— Weźmiesz broń i pójdziesz nad staw, — rzekł koń, — na wodzie ujrzysz pływającą kaczkę. Zmierzysz do niej, a wtedy sama się wyda.

Poszedł Janek nad staw i gdy chciał strzelać, zaczęła wołać: — Nie strzelaj, to ja!

Na drugi raz zamieniła się w bochenek chleba, a że wszystkie były jednakowe, nie można było wiedzieć w którym jest zaczarowana królowa.

Ale rumak wyjaśnił, iż trzeci zrzędu bochenek jest królową i poradził Jankowi, aby udał, iż go chce przekroić na połowę, a sama się wyda. Tak się też stało. Zabrał się do krajania, gdy wtem głos przerażony zawołał: — Nie krajaj chleba, to ja!

Gdy kolej przyszła na Janka, poszedł do wiernego rumaka, a ten zmienił go w mały owad i ukrył w nozdrzach.

Królowa, nie mogąc Janka znaleźć, rzekła: — Wychodź z ukrycia, znaleźć ciebie nie mogę!

Na drugą próbę ukrył go rumak pod podkową, w postaci małego robaczka.

I teraz szukała go nadaremnie, wreszcie rzekła: — Wychodź! Nie mogę cię znaleźć!

Chłopak wyszedł natychmiast i stanął z nią przed królem.

— Teraz jest już moja! — zawołał — napewno jest mi przeznaczona.

Król już nie mógł odmówić, tembardziej, iż Janek mu się podobał, jako dzielny jeździec i wybawca jego córki.

— Jeśli ci jest przeznaczona, to ją bierz! — odrzekł król z uśmiechem.

I pojechali na swych wspaniałych rumakach do kościoła. Żyli długo i panowali szczęśliwie.





## W DZIĘCZNA WIEWIÓRKA

Była mała dziewczynka, nazywała się Zosia, miała babcię, jak gołąbek siwiuteńką i małego kotka, Mruczysia.

Biednie było w chatce, ale aż błyszczało od czystości. A i Zosienka była zawsze czysta i ładnie ubrana. Chodziła ona często do lasu po gałęzie na opał i po jagody. Czasem też udało się znaleźć trochę grzybów, orzechów i malin leśnych, które przynosiła do babci z radością.

Pewnego dnia, było to jesienią, Zosia poszła na poszukiwanie grzybów. Nie udawało się jej znaleźć jadalnych, napotykała tylko po drodze same muchary i purchawki. Rozgniewana nadeptała jadowity grzyb, ale zaraz odskoczyła z przerażeniem. Zdawało się jej, iż z głębi grzyba wy-



szedł jęk. Nachyliła się nad nim, lecz nie usłyszała już żadnego odgłosu. Leżał zgnieciony małą nóżką, martwy. Uspokojona iść chciała dalej, ale znów pisk jakiś żalony dał się słyszeć. Zrozumiała, że dzieje się coś na wyniosłym świerku, że tam komuś dzieje się krzywda

Uniosła w górę główkę i spostrzegła mały rudy pyszczek wiewiórki, wysuwający się z dziupli drzewa.

Zręcznie wdrapała się na drzewo i zajrzała.

Jedna maleńka wiewióreczka siedziała wystraszona w zrobionym przez rodziców otworze. Poślanie z mchu było porozrzucone — widocznie ktoś drapieżny gospodarował tu w nieobecności rodziców i zostawił tylko maleństwo aby tutaj powrócić.

Zosia zdjęta litością postanowiła zabrać zwierzątko do domu, wiedząc, iż babcia gniewać się o to nie będzie.

Ale maleństwo broniło się rozpaczliwie, sądząc, iż wróg je zabiera, aby skrzywdzić. — Ko-ko-ko! — piszczła wiewióreczka — Nie dam się!

Zosia nakryła fartuszkciem maleństwo i spuściła się z drzewa na trawę.

Pędem biegła do domu, rozmyślając nad tem, gdzie umieści zwierzątko.

Nabrała mchu całe kępy i postanowiła je trzymać w koszyczku od jagód, a jak wyrosnie wypuścić na wolność. Nie pomyślała o Mruczysiu, dla którego wiewiórka byłaby silną pokusą a potem napewno smacznym kąskiem.

Rozradowana pobiegła do chatki, wołając: — Babciu! babciu! mam wiewiórkę! A jaka śliczna!

Zosiu droga, toż Mruczysz zadusi maleństwo, gdzież je ukryjesz? Odnieś do matki, piszczy pewnie z rozpaczcy.

— Babciu — odrzekło dziewczątko — matki nie było, w dziupli był nieład, ktoś pewnie zabił matkę...

— Wybieraj Zosiu między Mruczkiem a wiewiórką, gdyż dwoje żyć razem nie będzie mogło, — odparła babcia, oczekując z zaciekawieniem odpowiedzi dziecka.

— Jednego mi żal, a i drugiego także, — odpowiedziała Zosia, — Mruczek jest u nas dawno i lubię go bardzo, a wiewiórki żal, taka bezsilna i mała.

Wtem coś rudego, zwinnego przebiegło po blasze okna, dotykając puszystym ogonkiem ramy drewnianej lufcika.

— Patrz! oto i matka szukająca dziecka... Idź czempredziej Zosienko i zanieś na miejsce skąd wzięłaś, matka pójdzie za tobą.

Dziewczynka natychmiast zabrała wiewiórkę i odnalazszy drzewo, na którym znalazła maleństwo, włożyła ją ostrożnie do mchem wysłanego otworu.

Jak tylko zeszła z drzewa ukazała się stara wiewiórka i w ślad za nią spadł grad orzechów na Zosię, która aż musiała nastawić fartuszkca.

— Ko! ko! ko! — dziękowała wiewiórka — masz Zosieńko za twe dobre serduszko! Ko! ko! ko!



# D A N U S I A

Na przedmieściu, w małym domku mieszkała ośmioletnia dziewczynka Danusia, wraz z matką.

Miały one tylko jedną krówkę, której mleko sprzedawały na rynku w Krakowie, odległym od ich chatki o dwie mile. Wszystko szło jako tako, dopóki żyła matka Danusi. Dziewczynka była zawsze czysto choć ubogo ubrana i głodna nigdy nie była.

Ale razu pewnego zaziębiła się biedna kobieta i rozchorowała. Długo dni i noce leżała bezprzytomna, aż wreszcie pewnego ranka, tuląc dziecko swe jedyne w objęciach, usnęła na wieki.

W życiu Danusi zmieniło się wiele. Po pogrzebie matki zamieszkała z nią daleka krewna jej ojca, kobieta szorstka i nie lubiąca dzieci.

Mała sierotka musiała wszystko w domu robić: sprzątać, gotować i prać nawet. Ciępiła często głód i chodziła bosa i w lekkim ubraniu podczas najsurowszej zimy. Nie narzekała jednak, cicha była, posłuszna i pracowita. Aż się ludzie wokoło dziwili. Mleko na rynek nosiła jej opiekunka, kupując za otrzymane pieniądze produkty.

Razu pewnego opiekunka sierotki zbudziła ją przed świtem i kazała natychmiast wstawać. Zimno było i ciemno, dziecko drżało, nie wiedząc poco je zbudzono.

— Pójdiesz z mlekiem do miasta odezwała się surowo, dość już nachodziłam się i namarzałam. Jesteś dużą dziewczyną, powinnaś mi dopomóc i ulżyć w pracy, której mam i tak zawiele.

Włożyła Danusia duże trepy swej opiekunki i uniosła z podłogi duży dzban z mlekiem. Ach! jakież był ciężki! ledwie w obu rączkach utrzymać go mogła...

Ciemno było jeszcze gdy wyszła, lecz szła śmiało przez ośnieżone pola i ścieżki, drżąc z zimna i myśląc tylko o tem, żeby nie upaść.

Przeszła już więcej niż pół drogi, gdy naraz poślizgnęła się i upadła, tłukąc dzban na drobne kawałki. Na widok płynącej strugi mleka, Danusia głośno płakać poczęła. Ach! nie wróci już chyba do domu, bo i cóż ją tam czeka? Z rozpaczą rzuciła się na kolana przydrożnym i błagała o ratunek.

— Czego płaczesz, dziewczeczko? — spytał głos jakiś miły, ufaj Bogu, nie rozpaczaj!

— Stłukłam dzban z mlekiem — odpowiedziała sierotka, — miałam kupić za otrzymane za mleko pieniądze chleba i soli. Jakaż czeka mię kara! — I dziecko płakać boleśnie zaczęło.

— Pomódlmy się razem — mówił przechodzień nieznan, — może Bóg cię poratuje. Klękniij dziecię i odmów ze mną modlitewkę.

Uklękła sierotka i wzniosła modły ku niebu tak gorące, że ten, który z nią modlił się do Boga, a był to wielki uczony i świątobliwy Jan Kanty, podziwiał pobożność dziewczynki.

— Spełniona będzie twa prośba, — rzekł święty kapłan — wierz tylko a wszystko będzie dobrze, dziecino.





Wziął kawałki potłuczonego dzbanu do ręki, przeżegnał, a natychmiast zrosły się z sobą i dzbanek stał znów przed Danusią caluteńki, jakby był świeżo kupiony.

— Idź i zaczerpnij wody ze źródelka, które tu wytryska i przynieś.

Danusia z ufnością pobiegła po wodę, a gdy przyniosła, przeżegnał wodę, a ta natychmiast zamieniła się w mleko.

— Idź dziewczeczko i niech ci Bóg błogosławi! rzekł kapłan i zniknął.

Danusia stała zdumiona i szczęśliwa, wreszcie skierowała się ku rynkowi.



# J A Ś i M A Ł G O Ś I A .

Poszło dwoje dzieci do lasu na grzyby i jagody i zabłądziły. Las był duży i pełny różnych ścieżek, nie mogły więc znaleźć drogi do domu. Cóż poczną biedne dziecińcy? Małgosia zaczęła płakać i ze strachu i z głodu, Jaś ją pocieszał, chociaż jemu samemu smutno było i straszno, wreszcie postanowił puścić się na chybił trafił do wsi, w której mieszkali ich rodzice. Szli i szli bez przerwy, już i noc zapadała, a znikąd nie widział Jasio ratunku. Naraz dzieci aż klasnęły z podziwu i radości.

Ujrzały chatkę całą oblepioną piernikami, dach był z czekolady, komin z marcepanów, okienka z cukru lodowatego, drzwi z orzechów.

Cóżto była za uczta. Oberwały już dzieci dużo przysmaków, gdy ukazała się przed nimi straszna kobieta. Złękły się jej bardzo, ale przemówiła głosem tak słodkim, iż na jej zaproszenie weszły do chatki, nie obawiając się niczego.

Na widok dzieci kot czarny, siedzący na kominie wysoko zamiau-czał przeraźliwie i zjeżył sierść, wąż w kącie leżący zasyczał, a nietoperz zapiszczał. Uciszyła wszystkich i kazała Małgosi sprzątnąć izbę.

Dziewczynka małymi rączkami ledwie zdołała ująć miotłę, ale robiła, co jej kazała kobieta, myśląc, jaki los ich czeka.

Na drugi dzień rzekła: Przywabiłam was słodyczami, żeby was zjeść. Brat twój za chudy, musisz go tak karmić, żeby utył. Wsadziła go do komóreczki, zamknęła i zostawiając mały otwór, kazała przez niego dawać pożywienie. I to jak najwięcej.

Dziewczynka musiała przy niej go karmić.

Po kilku dniach zawołała na Jasia, aby pokazał paluszek, czy utył. Chłopiec, wyuczony przez siostrę, ssał wciąż mały palec, aby się nie wydał grubaszym.

Baba Jaga zniecierpliwiona czekaniem postanowiła upiec oboje i zjeść. Zapowiedziała pieczenie chleba.

Napaliła więc w piecu i kazała położyć się dziewczynce, niby dla spróbowania, czy piec dość gorący.

Małgosia zrozumiała podstęp i powiedziała, iż nie potrafi, chyba że sama Jaga pokaże, jak się to robi. Ułożyła się kobieta, nie podejrzewając podstępu Małgosi na blasze, a sprytna dziewczynka z całej siły wsunęła blachę do pieca i zawarła na zasuwę czempredzej.

Krzyczała, starała się wydobyć z pieca, ale nic nie pomogło.

Tymczasem Małgosia, wyzwoliwszy Jasia z komórki, nabrało dużo jedzenia i wyszła z chaty, postanawiając znaleźć drogę do Rodziców.





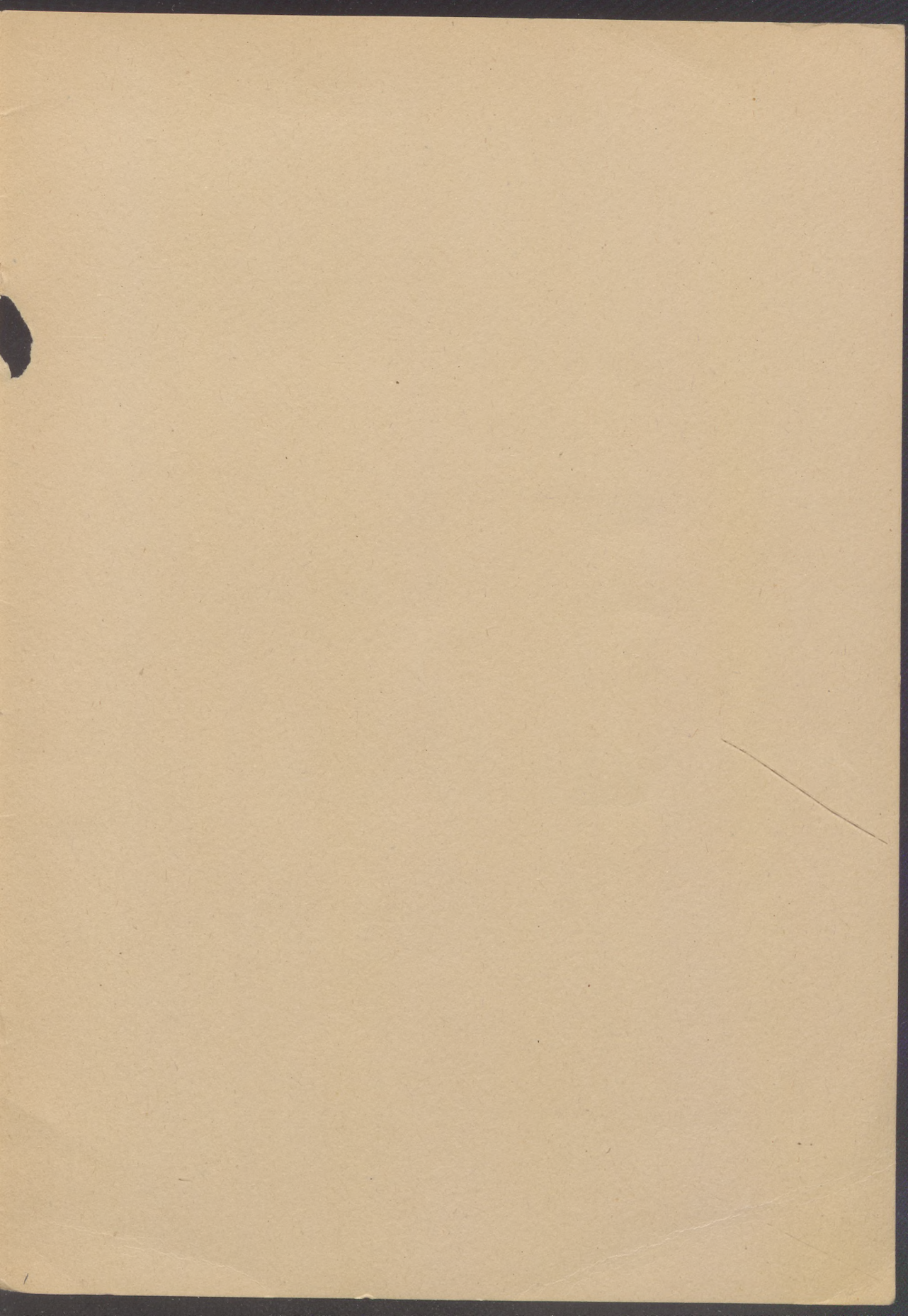
Kruk, którego zawsze karmiła i który ją bardzo polubił, leciał przed dziećmi, wskazując drogę, aż doprowadził do rodziców. Cóżto była za radość, gdy dzieci ukazały się w progu!

Rodzice pewni, iż wilki je pożarły, siedzieli znekani i zmartwieni, nie spodziewając się ujrzeć swych ukochanych dzieci, gdy naraz posłyszeli tak dobrze znane im głosiki i poczuli rączki, wieszające się u ich szyi.

Powitaniom i okrzykom nie było końca. Opowiadały dzieci o swej strasznej przygodzie, obiecując nie oddalać się nigdy w lesie od starszych, jakto było tym razem.









9844  
35

21 PAZ 1935

Druk. „Progress“ Warszawa

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017760865